

Po raz pierwszy spotkałyśmy się przed kilkoma laty, gdy grała Żonę w „Krzyszla” Ionesco w reżyserii Macieja Prusa. Na scenie była przygarbiona, chodziła na wykrzywionych nogach, a jej scenicznym tronem było krzesło. Po spektaklu spotkałam się z Damą, w wykwintnej, paryskiej sukni, z burzą rudych włosów, kobietą o nienaganej figurze, której dłonie zdobiła piękna, stara biżuteria.

Byla Marią Stuart, Damą Kameliową, Chimeną, Carycą Katarzyną, Królową Małgorzatą, Lady Makbet, Izabellą Łęcką, ale też Dulską i Panią Warren, co zaskoczyło wielu jej wielbicieli. Całe życie wszystkich zdumiewała i zaskakiwała: aktorstwem, odwagą sądów, siłą charakteru. Dziś, po latach, spotykamy się ponownie, gdy gra Elżbietę I Tudor w sztuce Esther Vilar „Królowa i Szekspir”. Czas okazał się łaskawy dla Niny Andrycz. Nadal władczym głosem i gestem, w biało-złotej sukni z diademem we włosach jawi się na scenie jako Elżbieta Tudor: rasowy polityk, kobieta silna, inteligentna, ale też schorowana, uczuciowo okaleczona, nieszcześliwa, umiejąca śmiać się z własnych romansów. Jej Elżbieta nie umiera w łóżku, ale stojąc, wczepiona w tron.

- Czy policzyła Pani swoje dotychczasowe królewskie role?

- Nie, ale liczył Boguś Kaczyński i wyszło mu około dwudziestu. Co prawda był już po kieliszku szampa, więc mógł się pomylić. Do Elżbiety I wracam po raz drugi. W 1976 roku grałam w „Marii Stuart” Schillera w macierzystym Teatrze Polskim, w innej, romantycznej konwencji. Elżbieta Schillerowska mówiła pięknym wierszem i miała różne etyczne zahamowania. Elżbieta z „Królowej i Szekspira” widziana jest oczami kobiety współczesnej, jest ostra, chwilami brutalna i okrutna, czemu trudno się dziwić, gdyż była córeczką swojego papy Henryka VIII i Anny Boleyn. Ta mieszanka wybuchowa, którą stanowili rodzice, wydała na świat nieco niesamowitą kobietę. Uwiodła mnie ta rola i nie żałuję tego. Na premierze była autorka, Esther Vilar, która ze szczęścia ucałowała mnie w co się dało, mimo że byłam pomazana scenicznym makijażem. Ze wzruszenia, które spowodowało, że w IV akcie, gdy Elżbieta umiera, popłakałam się. Vilar zapytała mnie, jakiej królowej jeszcze nie grałam, bo być może napisze dla mnie jakąś sztukę.

- Złożyła Pani u niej konkretne zamówienie?

- Zażartowałam, że nie miałam przyjemności być jak dotąd Teodorą Bizantyjską. Ale obie nie wiemy, o co tam dokładnie chodzi, więc nie wiem też, czy Vilar coś wymyśli. Gdyby jej się udało, to byłaby prawdziwa bomba.

- Zawsze podkreślano, że jest Pani kobietą odważną, nie bojącą się scenicznej metamorfozy. Udowodniła to Pani kolejny raz: obok pięknej, królewskiej sukni występuje Pani w nocnej koszuli, z zabandażowaną głową przygotowaną do założenia peruki. Nie bała się Pani aż takiego neglizżu?

- Nie, bo tego wymagała rola. W Elżbiecie zaproponowano mi tzw. łyskę, czyli coś obrzydliwego, bo z drugiego rzędu, nawet bez lornetki, widoczny byłby fałsz: nylon na głowie i pod nim włosy. Musiałam przeciwieście skonstruować starą, umierającą kobietę z silną, władczą królową, w złotych szatach, z diademem na głowie i berłem w ręce. To, że udało mi się stworzyć tę dwoistość postaci, przyniosło mi sukces. Ale po premierze koleżanki, jak to koleżanki, powiedziały mi: „Ładnie wyglądasz w tym zawoju”. W ten sposób załatwiły sprawę.

- Jak sądzi, że zazdrości. A Pani nigdy nie była zazdrosna?

- Być może byłam, ale ambicja nie pozwalała mi tego okazywać.

- Od 60 lat jest Pani wierna Teatrowi Polskiemu w Warszawie. Czy ta miłość była odwzajemniona?

- Przez wiele lat tak. Zaczynałam za dyrekcji Arnolda Szyfmana. To był teatr wspaniałych artystów: Przybyłko-Potocka, Junosza-Stępowski, Osterwa, Węgielko, Zelwewicz - wielcy aktorzy. Grałam dużo, wielkie role u najlepszych reżyserów, o których dzisiaj można tylko pomarzyć. A zadebiutowałam

- Zawsze. Gdy przez dwadzieścia jeden lat byłam żoną premiera Cyrankiewicza, przyglądałam się różnym ekipom rządowym i zawsze pozostawałam sobą. Byłam również niezależna finansowo. Nigdy nie byłam powojem, który pnie się wokół mężczyzny-dębu.

- Czyżby zodiakalny Skorpion determinował Pani charakter?

- W pewnym sensie tak. Dał mi siłę woli, pozbawił tzw. ciepełka i słow-

wsze interesowali mnie ludzie z wielkimi namiętnościami. Choćby Eleonora Duse, która przez całe swe życie kochała erotomana, on się nad nią znęcał, a ona nadal kochała. Klimat wielkiej namiętności, również tej scenicznej, to jest mój klimat.

- Namiętność często rodzi się z konfliktu.

- A ja czuję ludzi w sytuacjach konfliktowych. Może dlatego, że rozumie walkę z losem, o władzę,

Z diademem do dziś

Z NINĄ ANDRYCZ rozmawia Jolanta Ciosek



Jako Elżbieta I

Fot. ANNA LEWANDOWICZ

w Polskim też rolę królewską, Reganę - córką Szekspirowskiego Króla Lira, w spektaklu reżyserowanym przez Leona Schillera. Miałam wtedy 20 lat, gdy po raz pierwszy założono mi diadem na głowę. I tak już zostałam do dziś.

- Przecież królowny zdarzały się już wcześniej, w szkolnych przedstawieniach.

- Ale były niewinne, jakże różne od tych, które grałam później. Choć w młodości byłam dla siebie dość niepokorny. Charakter mam po mojej wspaniałej mamie. Zawsze mówię to, co myślę.

- Po roli Kobiety w „Lecie w Nohant” weszła Pani bardzo szybko w szczerelnie strzeżony przed wojną krąg gwiazd.

- Co odczułam nie tylko w sensie artystycznym, ale i finansowym, gdyż podniesiono mi wówczas znacznie pensję. Dzisiaj nikt mi już nic nie podniesie, bo osiągnęłam w teatrze tzw. pułap gaży, pozał się Boże.

- Lubł Pani pieniądze?

- Przede wszystkim muszę z czegoś żyć. Choć powiem bez obłudy, że zawsze lubiłam dużo zarabiać i dużo wydawać. A mimo to nie mam nabożnego stosunku do mamony. Pierwsze zarobione w życiu pieniądze dały mi od razu niezależność i samodzielność.

- Tę cenę Pani chyba ponad wszystko?

- To prawda. Zawsze, bez względu na okoliczności byłam niezależna. I w tym sensie jestem kobietą wyemancypowaną, ale nie zawsze we współczesnym tego słowa znaczeniu. Emancypacja dla mnie to przede wszystkim poleganie na sobie i decydowanie o sobie. Zawsze to w życiu robiłam.

dyczy na co dzień. Resztę wypracowałam sama. Zawsze o wszystko musiałam walczyć.

- Czy Skorpion obdarzył Panią też cechami, które przeszkadzają w życiu?

- Brakiem dyplomacji. I mimo że obracałam się w świecie dyplomatów, nigdy nie chciałam się tej cechy nauczyć. Mój wuj był dyplomata w MSZ, w rządzie Piłsudskiego i zawsze mi powtarzał: „Po twojej twarzy wszystko widać, nie jesteś dyplomatką”. Na co odpowiadałam: „Bo będę aktorką”. Dyplomacja to nie mój żywioł.

- A co jest?

- Całe życie poświęciłam sztuce. Nie mam dzieci, bo nie chciałam ich mieć - teatr był dla mnie wszystkim. Ale znalazłam też czas na pisanie. Sądzę, że druga część książki, którą obecnie piszę, będzie czytelniejsza od pierwszej dla szerszej publiczności, nie wtajemniczonych w arkaana przedwojennego teatru. Miałam potrzebę napisania o rzeczach ważnych, ale też własnych intymnościach, które okazują się wspólne dla mnie i czytelników.

- Jakie wartości w życiu ceni Pani najwyżej?

- Miłość i pracę. Obie mają dla mnie wspólne imię: teatr, który był moją największą namiętnością. Aktorstwo to trudny zawód i trzeba mu oddać całą swą duszę. Ja to robiłam, robię i w żadnych okolicznościach nie żałowałam swego życiowego wyboru. Co nie znaczy, że kochałam tylko teatr. Kochałam mężczyzn i byłam przez nich kochana. Miłość jest potęgą, która procentuje. Namiętność też jest fascynującym doznaniem. Za-

o miłość, o wolność. Walkę z życiem o życie. Zapewne dlatego gram zwykle kobiety o silnej indywidualności.

- Swój oficjalny jubileusz obchodziła Pani rolą w „Lustrze”, sztuce, którą napisała Pani wraz z Andrzejem Kondratiukiem. Czy pisanie to jedna z Pani namiętności?

- I poezji, i prozy. Wydałam kilka tomików wierszy i pierwszą część wspomnianej książki, rodzaju biografii, która kończy się na roku 1939. Czytelnicy i wydawca domagają się drugiej części. Napisałam już 190 stron. Ale wracając do „Lustra”. Spektakl był interesujący, a protektorat nad jubileuszem objął prezydent Aleksander Kwaśniewski. I cóż z tego, skoro graliśmy „Lustro” na Scenie Kameralnej Teatru Polskiego, którą teraz nam zabrano. Powstanie tam nocny klub, który rzekomo jest bardziej potrzebny ludziom niż teatr. Szkoda że do klubu nie dołączy agencja towarzyska, wówczas niektórzy byliby w pełni usatysfakcjonowani.

- Sądzi Pani, że to jeden z przykładów na to, że teatr przeżywa kryzys?

- Nie tylko teatr, ale cała kultura. Nastąpiło ogólne zdżyczenie i schamienie, dlatego powinniśmy się ratować, jak możemy. Stąd też Biznes Club wystąpił ze znakomitą inicjatywą - ratowania i popierania polskiej kultury, którą państwo całkowicie opuściło. Mamy dość Wielkich Braci zarówno w dziedzinie politycznej, jak i widowiskowej. Prezes warszawskiego Biznes Clubu Ryszard Konwerski założył kapitułę składającą się z ludzi sukcesu, do której zostałam wybrana jako członek honorowy. Moim zadaniem, jak i całej kapituły jest namawianie do czytania dobrej literatury, chodzenia do dobrego teatru, popierania niekomercyjnych filmów.

- Z tym przesłaniem przyjechała Pani do Krakowa?

- I z moim spektaklem. Apeluję gorąco do mieszkańców cudownego Krakowa: walczyć ze schamieniem i zdżyczeniem obyczajów, a wówczas sztuka znów się odrodzi. Miejmy nadzieję, że politycy też wreszcie zrozumieją, że sztuka musi być dotowana. Komedja Francuska zawsze była dotowana, bez względu na to, czy na tronie był Król Słońce czy Pompidou. MChAT był zawsze dotowany, nawet za strasznych czasów Stalina. W Polsce państwo na kulturę łoży grosze. Mój kolega, Kazimierz Dejmek, mówił i pisał bardzo mądrze o polskiej kulturze. Wiele też zdziałał. Widocznie jako minister kultury za dużo chciał zrobić, więc go wylano. To jest częsty sposób traktowania ludzi, którzy mają indywidualne sądy o sytuacji w kraju.

- Czy Pani w swym artystycznym życiu też doznawała krzywd?

- To się nie nadaje do prasy. Każdy doznawał. Gdy Szyfman wyjechał do Kijowa to jego żonę, czołową aktorkę Teatru Polskiego - Marię Przybyłko-Potocką, natychmiast koledzy zwolnili z teatru.

- Pani takiej sytuacji, ani przestoju w pracy nie zaznała?

- Bo byłam tzw. aktorką kasową i przynosiłam teatrowi zyski. Grałam nie dlatego, że ktoś mnie szczególnie kochał. Gdybym się „rozłożyła” w „Marii Stuart”, to nikt nie dałby mi kolejnej, królewskiej roli.

- Dostojeństwo Pani królowych i heroin wynika nie tylko z aktorstwa, ale również z tzw. warunków

sceniczych, znakomitej figury, którą utrzymuje Pani po dzień dzisiejszy. Odmawia Pani sobie jedzenia?

- Zawsze lubiłam wykwintne jedzenie, ale też wiem, że jeśli zdarzy mi się poszaleć kulinarnie, to na drugi dzień trzeba to odpokutować dietą. Warsztatem pracy każdej aktorki jest również jej ciało. Trzeba o nie dbać, jadając potrawy zajęcze, czyli sałaty, a nie kilogramy tłustego mięsa. Jestem osobą zdyscyplinowaną i przestrzegam tych zasad. Mam jednak słabość do słodyczy. Jeśli zakochany we mnie mężczyzna zaprosi mnie na kolację, chce uraczyć różnymi egzotycznymi potrawami, to ja cały czas marzę o deserze. Przy nim wyraźnie się ożywiam.

- Miała Pani okazję zakosztować też smaku życia, bywając w wielkim świecie?

- To prawda, wielki świat nie był mi obcy. Poznałam wielu wybitnych ludzi, uczestniczyłam w wykwintnych przyjęciach, po których permanentnie odchudzałam się. Stąd takie efekty.

- Życie dzieli Pani między sztuką a wielkim światem?

- Sztuka jest o wiele bardziej zaborcza i zazdrojna. Miałam tego świadomość od początku. To teatr był powodem wielu konfliktów z moimi narzeczonymi. Konfliktów o moją nieobecność w domu.

- Nigdy Pani nie uległa, nie zrezygnowała z roli dla mężczyzny?

- Nigdy. Mówiłam: „Jeśli ci się nie podoba, to się rozstaliśmy”. To jest argument, z którym nie można dyskutować.

- Nie czuła Pani osamotnienia w życiu poświęconym wyłącznie sztuce?

- Każdy człowiek bywa samotny, ale też każdemu pewna doza samotności jest potrzebna. Wtedy można się skupić i planować życie. Byle nie przekroczyć granicy, bo wówczas wpada się w psychozę i zbyt długo, w samotności, patrząc w siebie, widzi się pustkę.

- Bywa też odwrotnie. Patrząc w siebie, można się w sobie zakochać.

- To już jest narcyzm. Żaden wielki aktor nie jest w sobie zakochany, bo wie, że to byłby koniec jego kariery. Ja też nie kocham siebie, tylko swoje bohaterki. Ale czasami ich nienawidzę. „Lichą formą się brzydzę” - jak napisał jeden z naszych wieszczów.

- Czy dlatego nigdy nie zgodziła się Pani na napisanie o niej książki biograficznej?

- Nie wszystko jest na sprzedaż, droga pani. Książkę mogę o sobie pisać tylko ja, bo wtedy mam gwarancję dotrzymania lojalności, nawet wobec tych, którzy dla mnie byli nieojalni. Albo odeszli i nie mogą się bronić.

- Lojalność to jedna z cech, które ceni Pani najwyżej?

- I odwaga. Ona zawsze popłaca. Siedzi z nami, przy tej wytwornej kolacji w gościnnej „Osory”, mój przyjaciel - profesor Bogusław Scheller, świadek mego życia, który to potwierdza. Zawsze byłam odważna.

- I despotyczna?

- Nie jestem despotyczna, choć taką etykietę przyklejano mi całe życie. Ale na pewno mam psychiczne pre dyspozycje do pewnej władczności. To jednak nie ma nic wspólnego z konfliktowością. Jedyne potrafię walczyć o swoje. I w zawodzie, i w życiu.

- Podobnie jak Pani bohaterka - Elżbieta I Tudor?

- W niej najbliższa jest mi samodzielność. Jej okrucieństwo jest mi obce.

- Nie sądzi Pani, że wielcy artyści bywają często okrutni wobec innych, by być łaskawszymi wobec siebie?

- Być może, ja tego nie potrafię. Obce mi są też skargi Elżbiety, że tylko dwóch mężczyzn w jej życiu było nią zainteresowanych. Mną znacznie więcej.

- I znów wracamy do miłości, tej, która rządzi naszym życiem.

- Ostatnio przysnił mi się wiersz, który napisałam o mojej pierwszej miłości. Jego fragment brzmi tak: „Śni mi się pierwsza miłość. On mówi znów: malarzka. I nagle rękę cofa od moich loków rudych, ufarbowanych przecież najpiękniej”. To gorzki sen, ale prawdziwy.